



– Jesteście gotowi? – pytam trójkę, niesfornych, ale uroczych brzdąców, będących dziećmi mojej siostry. – Już siódma trzydziści. Musimy wychodzić!

Rok szkolny rozpoczął się trzy tygodnie temu, ale żadne z nich nie wykazuje nadmiernej radości z tego powodu, przynajmniej nie o tak wczesnej porze.

Dobrze, to objaw dziecięcej normalności – myślę, uśmiechając się sama do siebie.

Nico jest najstarszy. Ma jedenaście lat, a to, co w jego wyglądzie najbardziej przykuwa uwagę, to duże brązowe oczy. Często spuszcza je, trzepocząc długimi rzęsami. W dodatku kiedy się uśmiecha, robią mu się dołeczki w policzkach – jak w herbatnikach. Można by rzec: istna słodycz. Znajomi żartują, że Nico za dwa, może trzy lata zacznie łamać serca koleżankom. Z początku może nie będzie to „groźne”, ale potem – kto wie. Jeśli do tego nadal będzie trenować rugby, jak to robi z ogromnym zapalem od trzech lat, rzeźbiąc muskulaturę na wzór rzymskiego gladiatora, to jestem pewna, że dziewczyny będą ustawiać się do niego w kolejce wcześniej, niż się tego spodziewamy.

Lisa ma siedem lat i chodzi do tej samej co Nico szkoły. Ma krótkie, czarne włosy – w tej chwili sterczące, każdy w inną stronę. Wygląda uroczo. Cristina (moja siostra) obcięła je latem, żeby skóra głowy dziewczynki mogła nieco oddychać, nawet w najbardziej upalne dni. W żaden sposób nie odejmuje jej to jednak uroku. Jest śliczna. To nasza mała *principessa*<sup>1</sup>. Zawsze stara się upodobnić do którejś z bajkowych księżniczek. Dziś odstroiła się w swoją ulubioną różową bluzkę z Królową Śnieżką i spódniczkę w tym samym kolorze. Jestem pewna, iż mimo tak młodego wieku doborem strojów mogłaby zadziwić włoskich kreatorów mody.

---

<sup>1</sup>*principessa* (wł.) – księżniczka

Teraz właśnie Lisa obejmuje mnie w pasie, patrząc na mnie swymi wielkimi, cudnymi, szafirowymi, ale wciąż zaspanymi oczętami, zdającymi się prosić: „a może dziś byśmy jeszcze zostali w domu...” Oczywiście nie mogę się na to zgodzić. Choć sama chętnie poleniuchowałamby jeszcze w łóżku, to zobowiązałam się, po całym, wspólnie spędzonym weekendzie, odwiedzić dziś dzieciaki do szkoły, najmłodszą zaś do przedszkola. Właśnie...

– Sara, pospiesz się! Czekamy już tylko na ciebie!

Jak powiedziałam, jest najmłodsza z rodzeństwa, ale to właśnie ona, jak nikt inny, potrafi skupiać na sobie uwagę wszystkich dookoła. Bóg mi świadkiem, że drugiej takiej próżno szukać. Diabeł w ciele anioła. Jej buzia – słodka, jak wielkie pudełko czekoladek Mon Cheri, mówi „przytul mnie”, ale jej główka już kombinuje, co by tu zmajsztrować. Zawsze znajdzie czas na to, by coś zepsuć, kopnąć albo przewrócić. Potem naturalnie udaje skruchę, tak że czasem wprost nie sposób się na nią gniewać.

Właśnie obserwuję, jak przytrzymując się poręczy, schodzi po schodach w naszym kierunku.

– Pospiesz się, Sara! Czekamy jak zwykle tylko na ciebie! – mówi Nico, który jako pierwszy gotowy jest do wyjścia.

– Przecież idę – odpowiada spokojnie nasza czterolatka.

– Spóźnię się przez ciebie do szkoły – kontynuuje z wyrzutem chłopiec.

– Ojej... – Sara nie wydaje się wzruszona tą uwagą.

– No już, zakładaj szybko buty, bo faktycznie się spóźnimy – mówię, wciskając jej białego adidasa na nogę. O dziwo, pomaga mi, zakładając w międzyczasie drugi.

– Gotowi? – pytam, spoglądając na stojące przede mną dzieci.

Kiwają potakująco głowami, po czym każde z nich zakłada na plecy swój plecak i cała trójka wychodzi przed dom.

– No to w drogę! – zatraskuję drzwi mieszkania.

– Zapomniałam wziąć wodę – odzywa się Lisa. – Została przy wejściu. Cała butelka.

– Zaczyna się! – mówię z wyrzutem. – Lisa, przecież pytałam...

Mała wbija wzrok w ziemię, ale już po chwili ożywia się, dodając:

– Bo to przez Sarę. Gdyby się pospieszyła, to bym pamiętała. . .

Nie jestem zbyt przesądna, ale podobno wracanie się do mieszkania, zwłaszcza w poniedziałek rano, nie wróży niczego dobrego. Tym razem wolę jednak to niż lament dziewczynki w samochodzie.

Po nerwowym przeszukaniu wszystkich kieszeni kurtki i odnalezieniu kluczy, naturalnie w ostatniej z nich, otwieram drzwi i wchodzę do środka. Zabieram stojącą tuż przy schodach butelkę, po czym przestępując próg domu, uprzedzam:

– Jeśli ktoś ma coś jeszcze do zabrania, to lepiej, żeby sobie przypomniał teraz. Macie ostatnią szansę!

Cisza.

– Sara? Lisa? Nico? – upewniam się jeszcze.

– Mamy wszystko! – odpowiada Nico. – Chodźmy wreszcie!

Ponownie zatrzymuję za sobą drzwi i szybkim krokiem, trzymając za rękę dziewczynki, zmierzam w kierunku zaparkowanego przed bramą samochodu. Nico już tam na mnie czeka.

Podziwiam go. Jest mały, ale taki uporządkowany i w tej kwestii, muszę przyznać, bije mnie na głowę. Czasem zdarza mu się coś przeoczyć, w końcu jest jeszcze dzieckiem, ale jeśli chodzi o siostry czy szkołę, jest nadzwyczaj obowiązkowy. Zaskakuje mnie to, oczywiście pozytywnie, i to tym bardziej, że nie jest rodzonym bratem Sary i Lisy – to znaczy jest tylko po części. Cristina wyszła dwukrotnie za mąż i on jest dzieckiem z jej pierwszego małżeństwa. Jemu, i słusznie, nie robi to żadnej różnicy, bo czuwa nad siostrami tak, jakby były dwiema połówkami jego samego. One, naturalnie, odwzajemniają jego miłość, okazując ją w najbardziej spontaniczny sposób, jaki istnieje – obdarowują go każdego dnia niezliczoną ilością buziaków i uścisków.

Niewątpliwie dzieci udały się mojej siostrze. Trzeba jej przyznać, że radzi sobie z nimi wyśmienicie, zwłaszcza że opiekę nad nimi musi łączyć z codzienną pracą i domowymi obowiązkami.

Oczywiście Mario – obecny mąż Cristiny – pomaga jej w tym zadaniu całym sobą. . . a jest go niemało, jako że od wielu lat boryka się z dużą nadwagą. Pod tymi nadprogramowymi kilogramami kryje się jednak mężczyzna o gołębim sercu. Pozytywne wrażenie, jakie zwykle wywiera na ludziach, zawdzięcza wyjątkowo ładnej

(jak na mężczyznę) i sympatycznej twarzy oraz niesamowicie niebieskich oczach, dodatkowo potęgujących ciepło bijące od niego.

Może nadejdzie taki dzień, że i ja znajdę życiowego partnera, choć po części przypominającego Mario, i wreszcie się ustatkuję. Czasem wyobrażam sobie siebie z mężem, dziećmi... ale zwykle wtedy dzwoni telefon i już po chwili jestem w drodze na imprezę, wraz z moimi zwariowanymi przyjaciółmi.

– Ciociu, patrz! Kotek! – wykrzykuje Sara, wyszarpując swą rękę z mojej dłoni.

Nim zdążam cokolwiek powiedzieć, ona już biegnie w stronę czarnego futrzaka, czmychającego przed nią na ogrodzenie. Zwierzę jest szybkie i zwinne, ale od razu widać, że nie miało wcześniej do czynienia z naszą Sarą. Przerażliwie szamocząc się, usiłuje wyrwać swój ogon z rąk oprawcy – na próżno.

– Puść go natychmiast! – krzyczę tak głośno, że Sara aż podskakuje do góry, a kot widząc jedyną dla siebie szansę ucieczki, wbija pazury w jej przedramię, wspina się na bramę i ucieka daleko, przebiegając mi przy okazji drogę do auta. Czyżby to kolejna tego dnia zapowiedź pecha? Całą swą uwagę skupiam jednak na mojej siostrzenicy.

Podbiegam do niej roztrzęsiona.

– Nic ci nie zrobił? Nie ugryzł cię? Nie zadrapał? Pokaż mi się tutaj natychmiast!

Pospiesznie oglądam nieosłonięte części ciała dziewczynki. Widzę małe punkciki na ręku, ale na szczęście bez śladów krwi. Poza nimi kot nie wyrządził jej żadnej krzywdy. Ze wszystkich sił próbuję się uspokoić, ale i tak daję upust zdenerwowaniu:

– Nie wolno dotykać obcych zwierząt! Rozumiesz? – potrząsam ją lekko za ramię. – To nie nasz kot i nie wiemy, czy jest chory czy nie, dobry czy zły! – Serce bije mi coraz szybciej.

W głowie tworzę najbardziej drastyczne scenariusze tego, co mogło się jej przytrafić. Jakbym wytłumaczyła Cristinie, że przez moją nieuwagę jej córka została zarażona wściekłą lub inną chorobą, ma na twarzy bliznę do końca życia lub wydłubane oko? Może to śmieszne, ale w tej chwili każde z tych zdarzeń wydaje mi się jednakowo prawdopodobne. Nie lubię kotów i może właśnie stąd

biorą się teraz te moje pesymistyczne wizje. Chyba w dzieciństwie nasłuchiwałam się zbyt wielu historii. . .

Sara zwiesza głowę w geście „obrażenia”, bynajmniej nie skruchy, ale przynajmniej nie robi problemów z wejściem do samochodu, więc. . . może uda się przetrwać drogę do szkoły.

Włoskie ulice, zwłaszcza w centrum miasta, różnią się od tych w pozostałej części Europy, po których miałam okazję poruszać się samochodem. Choć na nas – Włochach – nie robią żadnego wrażenia, to trzeba przyznać, że wymagają wyjątkowo dobrej znajomości miasta i niemalże cyrkowych umiejętności kierowania pojazdem. Drogi są zwykle bardzo wąskie i kręte, a w dodatku usiane przeróżnymi znakami, na które przeciętny Włoch nie zwraca najmniejszej uwagi. To sprawia, że na każdym kroku spotykać można pojazdy mknące pod prąd. Najważniejsze jest bowiem dotarcie do celu, a to, że przy okazji złamie się parę przepisów. . . co tam. Usprawiedliwienie jest zawsze to samo – przecież wszyscy tak robią.

Co ciekawsze, nawet tutejsza „drogówka” nie reaguje zbyt agresywnie na łamanie przepisów. Może to i lepiej (dla nich i dla nas), w przeciwnym razie musiałaby zatrzymywać praktycznie każdy samochód, a tak jedynie grozi palcem „niedzielnym kierowcom”. Oczywiście takie postępowanie jest praktykowane w stosunku do aut z włoskimi rejestracjami. Niechby tylko jakiś zagubiony Francuz zapomniał włączyć światło zmiany kierunku zjeżdżając z ronda. Oj, biada mu wtedy! Nasza, zawsze elegancko ubrana, policja drogowa niewątpliwie wychwyci go swym czujnym okiem i z całą pewnością zadba, by podróż po Włoszech na wieki zapadła w pamięci tego delikwenta.

Tak więc ja, dokładnie o siódmej czterdzieści, wbijam się w typowy miejski ruch. Mieszkam w Rovigo, w północnym rejonie Włoch, zwanym „po naszymu” *Veneto* (Wenecja Euganejska). Nie jest to duże miasto, więc i korki o tej porze są mniejsze, co niewątpliwie różni je od Bolonii, Rzymu czy Neapolu, ale ma swój niepowtarzalny urok, jak każde z wcześniej wymienionych. Nie ma tu tego charakterystycznego dla wielkich, przepelnionych ludno-

ścią miast zgiełku, co my – mieszkańcy Rovigo – bardzo sobie cenimy.

Jedziemy powoli, przystając co kilka sekund. Przepuszczamy włączające się do ruchu pojazdy, w których obładowane pluszowymi maskotkami dzieci jadą sprostac kolejnym szkolnym wyzwaniom, jak te na tylnym siedzeniu mojego samochodu.

Jeszcze dwa zakręty i będziemy na miejscu. Zamiast pedału gazu z całej siły wciskam hamulec, bo oto dwa malce zapomniały, że wjeżdżając rowerem na ulicę najpierw należy się rozejrzeć w lewo i prawo, by nie wylądować pod kołami jakiegoś samochodu.

My też tak jeździliśmy do szkoły z Cristiną – wspominam z lekkim rozrzewnieniem.

Dojeżdżamy wreszcie na miejsce. Wsiadam i otwieram drzwi z lewej strony, nie przejmując się, że wstrzymuję tym samym ruch uliczny. Z samochodu wychodzą Nico i Lisa. Pomagam im założyć plecaki. To niewiarygodne, że są w stanie dźwigać takie ciężary. Całują mnie na pożegnanie, po czym trzymając się za ręce, przebiegają na drugą stronę ulicy. Przed wejściem do szkoły machają jeszcze do mnie, ale już po kilku sekundach znikają w tłumie rozwrzeszczanych pociech, czekających na pierwszy dzwonek, a wraz z nim na nauczycielkę, która poprowadzi je do klasy. Jestem z nich taka dumna, choć nawet nie są moje. Kocham je całą sobą. Mogłabym tak tu stać w bezruchu, czekając na chwilę, kiedy to będą wybiegać ze szkoły.

Niestety Sara, czekająca w zaparkowanym samochodzie, bardzo szybko przypomina mi o swoim istnieniu. Przecisnąwszy się na przednie siedzenie, jedną ręką wciska bez opamiętania klakson, a drugą dobiera się do kluczyków w stacyjce. W ostatniej chwili wsiadam do środka, spychając ją tym samym na fotel pasażera. Wymierzam jej małego „klapsa” w rączkę, karcąc podniesionym głosem:

– Ile razy mówiłam ci, że nie wolno tu nic dotykać?

– ... ale ja tylko chciałam... – zaczyna jak zwykle swoje wymówki i po raz kolejny dzisiejszego dnia spuszcza głowę.

– Nieważne, co chciałaś! Ważne, że nie słuchasz, co się do ciebie mówi. Chcesz spowodować wypadek?

– Nie... – odpowiada prawie płacząc (co ciekawe, na sucho). Teraz próbuje wzbudzić we mnie litość. Zawsze tak robi z moją siostrą, ale ze mną ten numer nie przejdzie. Zresztą jestem pewna, że ze wzrokiem wbitym w podłogę uśmiecha się „pełną gębą”.

Ruszam, każąc jej jeszcze tylko zapiąć pasy.

– Mama nie każe mi ich zapinać – mówi i choć niechętnie, to jednak wykonuje me polecenie.

Wygląda przekomicznie z czarną, ukośną taśmą pasa przechodzącą jej pod samą brodą. W tej chwili nie zamierzam poświęcać jej więcej czasu. I tak już mnie dziś wystarczająco zdenerwowała. Poganiana przez innych zniecierpliwionych kierowców, ponownie włączam się w uliczny ruch.

Kątem oka od czasu do czasu zerkam na małą, siedzącą ze splecionymi na piersiach rękoma i z jej słynną nadąsaną miną. Jej poza nie robi na mnie najmniejszego wrażenia. W takich chwilach zastanawiam się, czy nadaję się na matkę, skoro jestem tak bezwzględna dla małych dzieci. Nie, właściwie jestem taka tylko dla tego potwora w dziecięcej skórze. Uwielbiam szkraby panoszące się po domu... tylko ona – Sara – wzbudza we mnie najgorsze instynkty. Czasem wprost nie mogę patrzeć na jej gierki. Trzeba przyznać, że jest inteligentną bestią. Doskonale wie, na co i przy kim może sobie pozwolić. Według mnie potrzebuje częstszego karcenia. Parę klapsów wymierzonych w pupę może zdziałać cuda. Niestety, w domu Cristiny nie praktykuje się kar cielesnych, efektem czego jest naburmuszona czterolatka siedząca właśnie po mojej prawicy. Naturalnie nie zamierzam wytykać błędów wychowawczych popełnianych przez moją siostrę, bo i tak uważam, że radzi sobie świetnie, niemniej kiedy dzieci są ze mną, muszą przestrzegać moich i tylko moich zasad.

W tej chwili mam na głowie ważniejsze sprawy niż niezadowolona Sara. Nie wiem na przykład, czy Mario i Cristina zdążą na czas wrócić z Turynu, by odebrać dzieci ze szkoły.

Oboje zrobili sobie wolny weekend i wyjechali do znajomych. Potrzebowali tego. Dzień w dzień harują jak woły, tylko po to, by zapewnić byt rodzinie, w tym także i mnie. Mam nadzieję, że ten wyjazd choć na chwilę pozwolił im zapomnieć o codzien-

nych problemach. Naturalnie znam swoją siostrę i wiem, że rozłąka z dziećmi za nic na świecie nie jest w stanie jej zrelaksować, wręcz przeciwnie. Pewnie zamartwia się, czy Sara nie narozrabiała za bardzo, czy Lisa nie wybrzydzała przy jedzeniu i czy Nico rzetelnie przygotował się do szkoły, choć tego ostatniego może być akurat pewna.

Może na próżno, ale łudzę się, że podczas tego weekendu była choć jedna minuta, kiedy to oboje z Mario myśleli wyłącznie o sobie. Z drugiej strony dwa ich wcześniejsze wyjazdy miały taki sam finał – mała fasolka dojrzewająca przez kolejnych dziewięć miesięcy w łonie Cristiny. Mam nadzieję, że choć tym razem się zabezpieczę, bo nie chcę być ciocią po raz czwarty.

– Widziałaś?! – wykrzykuje nagle Sara.

– Co się dzieje? – próbuję zachować spokój, mimo że już trzeci raz w ciągu godziny podnosi mi ciśnienie.

– Ten sam kotek! Ten, co go głaskałam przed bramą! – mówi, stosując dziecięcą gramatykę.

„Głaskałam”? Mając przed oczyma biedne, rozwrzeszczane z przerażenia zwierzę, które tarłosiła wcześniej za ogon, zastanawiam się nad jej kategoriami dobra i zła.

– Sara, jesteśmy już daleko od domu. To na pewno... – waham się, chcąc powiedzieć „brzydactwo” – jakiś inny kot.

– To ten! Ma taki sam kolor i takie długie wąsy! – nie daje za wygraną dziewczynka.

– Też jest czarny i ma wąsy, ale to nie może być on. Jest mnóstwo czarnych kotów. Wszystkie wyglądają tak samo – wciąż usiłuję złapać oddech.

– To był on, bo mi pomachał łapką... .

– Aaa, to co innego – udaję, że mnie przekonała.

Ach, ta dziecięca wyobraźnia! Kiedy jest się niczego nieświadomym czterolatkiem, wszystko wydaje się takie czyste i niewinne. Z czasem jednak przybywa problemów i zmartwień i tęczy świat zaczyna zapełniać się szarymi i czarnymi barwami. Dzieciństwo minie bezpowrotnie, a w jego miejscu pojawi się ból. My, dorośli, powinniśmy robić wszystko, by beztrudnie życie naszych pociech trwało jak najdłużej. Przecież nie ma powodów, by spieszyć się



ku dorosłości. Rzeczywistość i tak da o sobie znać wcześniej czy później, w bardziej lub mniej brutalny sposób.

Dojeżdżamy – tym razem do przedszkola. Nie wiem, jak te panie – chyba święte – radzą sobie ze zgrają małych, rozwrzeszczanych stworzeń. Jeśli wśród piętnaściorga brzdąców choć jedno jest podobne do Sary, to należy współczuć opiekunkom, a ponadto dzień i noc modlić się, by nieustannie miały siły i chęci do pracy.

Wysiadam, obchodzę samochód dookoła, po czym trzymając Sarę za rączkę, pomagam jej wysiąść, albo raczej wyskoczyć z samochodu. Odprowadzam ją do wejścia do przedszkola. Tutaj, przed szklanymi rozsuwanymi drzwiami, obklejonymi niezliczoną ilością misiów, kwiatków i zajaczków, wita mnie znajoma twarz:

– Dzień dobry! Widzę, że dziś na pani spoczywa przyjemność odwożenia dzieci.

Urażona sposobem, w jaki to powiedziała, odpowiadam:

– Dzień dobry. Tak, dziś ja zastępuję moją siostrę, ale dzieci są tak urocze, że mogłabym to robić codziennie.

Trochę mnie to kosztuje wysiłku, ale uśmiecham się tak, jakby nigdy przedtem nie spotkało mnie w życiu nic miłszego.

Sara widząc to, prawie natychmiast przyciąga mnie do siebie za rękaw kurtki i całuje, zostawiając mokry ślad ust na moim policzku.

– Biegnij, aniołku – mówię spoglądając w stronę pilnującej wejścia pani.

Kobieta jedynie przewraca oczami dając wyraz „swojemu zadowoleniu” na myśl o kolejnym dniu spędzonym w pracy... z Sarą u boku.

Dziewczynka macha mi na pożegnanie. Odpowiadam jej, posyłając buziaka.

– Miłego dnia! – z nieukrywaną złośliwością zwracam się do pani przed wejściem, a sama udaję się znów do zaparkowanego nieopodal auta.

Siadam za kierownicą. W uczuciu ulgi rozpinam kurtkę. Przez chwilę wdycham zapach wanilii, pochodzący z małej choineczki zawieszanej przy przednim lusterku samochodu. Nareszcie spokój. Zadanie wykonane – dzieci są całe, zdrowe, każde we właściwym

miejscu. Teraz mogę zająć się sobą i moim życiem. Na początek szkoła!

Studiuje w Bolonii, na jednym z najstarszych uniwersytetów w Europie. Medycyna, bo taki kierunek wybrałam, nie należy do najłatwiejszych, ale nie mogę powiedzieć, żeby nauka przychodziła mi z wielkim trudem. Być może jakieś wrodzone zdolności, albo po prostu chęć bycia lekarzem sprawia, że stopnie mam zwykle bardzo dobre, dzięki czemu rok w rok przysługuje mi stypendium – choć tak mogę pomóc mojej siostrze. Nigdy jednak nie poświęcam nauce więcej czasu niż to jest konieczne do zaliczenia przedmiotu, przez co moje podejście do przyszłego zawodu może wydawać się nieco lekceważące. Nie ma jednak nic bardziej mylnego. Zdrowie i życie ludzkie cenię ponad wszystko, ale jeśli widzę choćby cień szansy na zdanie egzaminu w oparciu o zdobytą wcześniej wiedzę, to wolę ulotnić się z przyjaciółmi do kina, pubu lub dyskoteki, niż spędzać kolejne godziny nad stertą książek we własnym pokoju. Czy jest w tym coś złego?

Naturalnie takim postępowaniem spędzam sen z powiek Cristinie. Nie moja wina, że moja siostra – z zawodu pielęgniarka – traktuje mnie jak swe czwarte dziecko – wbrew pozorom – najmłodsze.

Swoją nadopiekuńczość zaczęła okazywać w dniu, kiedy to zamieszkałam z nią i Mario pod jednym dachem, czyli po śmierci ojca (matka zmarła wiele lat temu). Może ma i rację, że choć jestem młodszą od niej tylko o cztery lata kalendarzowe, to jednak emocjonalnie prawie nie różnię się od jej dzieci.

Odpalam silnik mojego fiata i wjeżdżam na jedną z głównych ulic, prowadzących na autostradę. Pogoda nie jest dziś rewelacyjna, ale dokładnie taka sama była wczoraj i przedwczoraj o tej samej porze. Dookoła panuje mgła, ale to normalne tutaj – zwłaszcza rano. Nie rozumiem, dlaczego to Londyn uchodzi za „mgielne miasto”. Byłam tam kilka razy, ale nigdy nie spotkałam się z mgłą dorównującą naszej. Ba, pozwolę sobie na stwierdzenie, że Anglicy nie mają zielonego pojęcia, co oznacza podróż autem, kiedy to widoczność nie przekracza dziesięciu metrów.

Za szybą biało, a w radio co chwilę słyszę komunikaty przypo-

minające o przestrzeganiu przepisów bezpieczeństwa na drogach. Nawet teraz mijam jakąś informację na zamontowanym ponad pasami ruchu monitorze: „Uwaga, widoczność 30 m, proszę zachować ostrożność! Ograniczenie prędkości do 40km/h”.

Standard – myślę. A jeszcze wczoraj było tak ładnie, to znaczy po południu, kiedy to wybrałam się z dziećmi do Ferrari.

Przełączam radio na stację z muzyką, żeby umilić sobie długą podróż. Ku mojemu zadowoleniu, słyszę jedną z moich ulubionych piosenek. To James Blunt i kawałek pod tytułem „1973”. Wysłuchałam go już tyle razy, że wszystkie słowa znam na pamięć. Całe szczęście, że jestem sama w samochodzie. Nie mam więc żadnych skrupułów i śpiewam razem z piosenkarzem, nie szczczędając swoich strun głosowych

W tej samej chwili kątem oka widzę, że jakiś samochód z lewej strony wyprzedza mnie z dużą prędkością. Spoglądam w jego stronę. W środku siedzą chłopcy (na oko siedemnasto-, osiemnastoletni) i robią do mnie głupie miny.

– Dzieciaki! – myślę, wjeżdżając na most, podczas gdy chłopcy są już daleko z przodu.

Automatycznie spoglądam w lusterko, upewniając się, czy nie jadą za mną kolejni szaleńcy, ale ku mojemu przerażeniu, nad zagłówkiem mojego fotela widzę jedynie... czarnego kota prychającego ze złości!

– Chryste Panie! – wykrzykuję.

Prawą ręką energicznie wymachuję ponad głową, starając się przepędzić intruza. On jednak nie wydaje się ani trochę przestraszony. Wręcz przeciwnie, przechodzi do ataku i już po chwili czuję, jak ostrymi pazurami rozdrapuje skórę na mej szyi. Na dodatek wpatruje się we mnie tymi wrednymi, szpetnymi, jasnozielonymi oczami.

Podobno zwierzęta nie zdają sobie sprawy z tego, co widzą w lustrzanym odbiciu. Może większość nie, ale to kocisko, wielkości żbika, na pewno do nich nie należy. O nie! On doskonale wie, na co patrzy – na swoją ofiarę. Na mnie!

Przerażona hamuję, skręcając maksymalnie kierownicę w lewo. Nie jechałam więcej niż pięćdziesiąt, no może sześćdziesiąt kilo-

metrów na godzinę – Włosi prawie nigdy nie dostosowują się do „zaleceń” – ale nagły zwrot powoduje, że pojazd wyskakuje w górę i po obrocie w powietrzu spada na dach. Sunie tak jeszcze ładnych parę metrów, po czym przebija barierę chroniącą kierowców przed wyładowaniem w rzece.

Nie wiem, czy podczas tego wypadku utraciłam przytomność i ją potem odzyskałam, czy też przez cały czas byłam całkowicie (lub przynajmniej na wpół) nieprzytomna, ale faktem jest, że w tej chwili nie bardzo zdaję sobie sprawę z tego, gdzie tak naprawdę jestem.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest pysk kota tuż nad moją głową i jego wyszczerzone, gotowe do ataku kły. Nawet w tej chwili czuję, jak krew ścieka wąskim strumykiem po szyi.

Nie mogę się ruszyć. Próby uwolnienia ze zmiądzzonej maszyny ponawiam coraz częściej, zwłaszcza że swąd spalonej gumy powoli ustępuje zapachowi wyciekającej benzyny. Niestety, wszystko na darmo. Pozostaję w bezruchu. Staram się opanować – najważniejsze to nie panikować! Ręce mam bezwładne, lecz mimo to usiłuję zgiąć je w łokciach tak, by móc odpiąć pasy bezpieczeństwa i samodzielnie wydostać się na zewnątrz. Bezskutecznie.

– Opanuj się, dziewczyno! Tylko nie panikuj! – podpowiada mi wewnętrzny głos, ale druga część mnie, ta przepełniona adrenaliną, krzyczy:

– Obudź się wreszcie i... *Cazzo!* Rusz dupę i wynoś się stąd, jeśli chcesz żyć! Za chwilę ten pogięty złom wyleci w powietrze, a ty spłoniesz żywcem w środku!

Tak, ten głos zdecydowanie jest bardziej przekonujący od poprzedniego. Ponownie usiłuję napiąć mięśnie, tak by przemieścić się na fotelu, ale zanim udaje mi się wykonać choćby najmniejszy ruch, moją głowę przeszywa ból nie do opisania. W dodatku cały samochód zaczyna się kołysać.

Czy ja wciąż jestem na moście? – zastanawiam się przez moment.

– Tak, więc jeśli jakimś cudem nie spłoniesz, to na pewno się utopisz! Już jesteś martwa! Słyszysz? Martwa! – „podtrzymuje mnie na duchu” moje drugie, pesymistyczne „ja”.